



Wywiad z Bożeną Gostkowską:

Mój Dziadek został Marszałkiem Sejmu Wileńskiego w 1922 roku, który zdecydował o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski.

„Wspominając spotkania z Oszmiańczukami, myślę sobie, że Polacy mieszkający za granicą chyba częściej i bardziej spontanicznie niż my potrafiały demonstrować swój patriotyzm”.

Tomasz Kiejdo



/ Bożena Gostkowska przed budynkiem dawnego gimnazjum im. Jana Śniadeckiego, Oszmiana, sierpień 2019, fot. zbiory Bożeny Gostkowskiej

Tomasz Kiejdo: Pani Bożeno, urodziła się Pani w Wilnie i tam przeżyła pierwsze lata. Czy w pamięci pozostał obraz miasta z tamtego okresu? W Wilnie mieszkaliście do 1941 roku.

Bożena Gostkowska: Urodziłam się w Wilnie 30 sierpnia 1936 roku i mieszkałam tam do czerwca 1941 roku. Moje wspomnienia to rozsypana łamigłówka. Pamiętam dom na ulicy Szepcycykiego, w którym mieszkaliśmy, gdy wybuchła wojna. Była to 3-piętrowa kamienica z dużym podwórkiem. Pamiętam drzewo, pod którym w czasie wojny my, dzieci, zbierałyśmy się, by omówić aktualną sytuację. I taki obrazek: nadbiega „dobrze poinformowany” chłopiec i scenicznym szepcetem oznajmia: „W tym roku święty Mikołaj nie przyjdzie, bo został internowany na Litwie”. Tak poznałam znaczenie słowa „internowanie”. Prezenty jednak były. Skromne, ale były.

Sprzed wojny trochę pamiętam, mam też zdjęcia: spaceru z Mamą i Ojcem w Ogrodzie Bernardyńskim oraz ulicą Pohlulanki, gdzie był teatr, i ulicę Wielką z cukiernią Sztrala, do której wstępowałyśmy na herbatę i ciastka. Zapamięta-

łam też Zielony Most, pewnie z racji koloru, Ostrą Bramę i aniołki w kościele św. Piotra i Pawła. Samego kościoła nie pamiętałam. Odnalazłam go najpierw na zdjęciu w wydawnictwie albumowym poświęconym Wilnu, a potem już osobiście na wycieczce do Wilna w 1991 roku.

I jeszcze taka ciekawostka. W czasie wojny przez pewien czas, podczas okupacji litewskiej, nosiłam litewskie nazwisko. Sprawa została załatwiona bardzo prosto. Do polskich nazwisk dopisano litewskie końcówki: -is/-as, -enie, -utie. Dwie ostatnie to odpowiedniki polskich, używanych wtedy: -owa, -ówna. W przypadku mojego rodzowego nazwiska Szutowicz wyglądało to tak:

ojciec, Henryk Szutowicz – Szutowiczas, mama, Zofia Szutowiczowa – Szutowiczenie, ja – Bożena Szutowiczówna – Szutowiczucie.

T.K. Czym zajmowali się Pani rodzice?
B.G. Mój Ojciec, matematyk, był najpierw nauczycielem matematyki i fizyki w Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Oszmianie. Później pracował w Izbie Skarbowej w Postawach i Wilnie.

Przed wojną był naczelnikiem III Urzędu Skarbowego w Wilnie, a Mama studiowała etnografię na Uniwersytecie Stefana Batorego.

T.K. Ważnymi miejscami były dla Pani także Oszmiana i Przylesie, związane z rodziną dziadków Łokuciewskich. Proszę przybliżyć czytelnikom te zasłużone dla Polski międzywojenne postaci.

B.G. Tak, rzeczywiście to ważne miejsca w moim życiu. Związane są z Łokuciewskimi, rodziną mojej Mamy, bo z Łokuciewskimi i pod ich znakiem upłynęło moje dzieciństwo i młodość. Łokuciewscy to rodzina ziemiańska (herbu Żnin) o głębokich tradycjach patriotycznych, silnie związana ze swoją małą ojczyzną, Ziemią Oszmiańską. Oszmiana to było miejsce pracy. Losy rodziny były szczególnie związane z oszmiańskim gimnazjum. Uczyli w nim Babcia i Dziadek i uczyli się ich dzieci: moja Mama Zofia, Witold i Jerzy. Przylesie (oficjalna nazwa Zaczisze), pobliski folwark, był miejscem wypoczynku.

Tam spędzali wakacje i wszystkie wolne chwile. Ojciec Mamy, a mój Dziadek, Antoni Łokuciewski, matematyk, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. założył w Oszmianie (wraz z ks. Czesławem Górskim) pierwsze i jedyne w powiecie Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego. Był jego dyrektorem i uczył w nim matematyki przez cały okres międzywojenny do października 1939 roku. W tej pracy miał tylko krótką przerwę w 1922 roku, gdy został Marszałkiem Sejmu Wileńskiego, który zdecydował o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski.

Jego żona, a moja Babcia, Beniamina z Pobiedzińskich Łokuciewska była również nauczycielką i działaczką społeczną. W czasach jej młodości kobieta z wyższym wykształceniem była rzadkością, a Babcia ukończyła filologię francuską na Uniwersytecie Moskiewskim. Poza tym znała bardzo dobrze rosyjski (Wilno leżało w zaborze rosyjskim) i niemiecki. Najpierw uczyła w oszmiańskim gimnazjum historii i francuskiego. Potem zajęła się działalnością społeczną. Była radną, organizowała m.in. kursy dokształcające dla dorosłych, kół gospodyń wiejskich, opiekę nad więźniami, akcję „kropla mleka”. Została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.

T.K. Pani ojcem chrzestnym został późniejszy as polskiego lotnictwa z okresu II wojny

światowej Witold Łokuciewski, nazywany Tolem. Większość kojarzy jego postać z literatury i filmów jako bohatera-pilota Dywizjonu 303. A jaki był prywatnie?

B.G. Był uroczym człowiekiem, znakomitym gawędziarzem. Był też bardzo przystojny. Kochały się w nim kolejne pokolenia dziewcząt i kobiet. Najpierw jego koleżanki, potem koleżanki młodszego brata i moje, wreszcie koleżanki jego córek. Ania do dziś wspomina, że na balu maturalnym jej tata nie usiadł ani chwili. Wszystkie dziewczyny chciały z nim tańczyć. Miał ogromne poczucie humoru. Był zawsze uśmiechnięty. Jednym słowem, żartem potrafił rozładować napiętą atmosferę. Opowiadał dużo, barwnie i chętnie, ale nie mówił o wszystkim. Był duszą towarzystwa, ale jego otwartość miała granice. Kłopoty były tematem tabu. Nigdy, nawet w najcięższych chwilach, nie narzekał, nie skarżył się. O sukcesach dowiadywałam się natychmiast, o kłopotach dopiero wtedy, gdy już można było o nich mówić w czasie przeszłym.

T.K. Nadeszła wojna. Losy Pani ojca Henryka Szutowicza i dziadka Antoniego Łokuciewskiego był tragiczny. Co się z nimi stało?

B.G. Nie znamy do końca ich losów. Nie znamy dat ani miejsc śmierci. Wiemy, że Dziadek aresztowało NKWD w październiku 1939 roku. Przebywał w różnych więzieniach. Najpierw w Oszmianie, następnie w Starej Wilejce i Stucku. Potem prawdopodobnie został wywieziony do Warkuty, gdzie prawdopodobnie zmarł z wycieńczenia¹⁾. Nie możemy jednak wykluczyć Kuropat jako miejsca śmierci.

Gdy wybuchła wojna, mój ojciec, Henryk Szutowicz jako ppor. rezerwy został zmobilizowany. Nie znam jego losów w ciągu następnych kilku miesięcy. Wiem tylko, to ostatni ślad (wydanie z gazety), że w lipcu 1940 r. został aresztowany przez NKWD w Nowej Wilejce, gdzie ukrywał się w domu swoich rodziców i osadzony został w więzieniu na Łukiszczach w Wilnie. Dalsze jego losy nie są znane.

T.K. Czy poszukiwaliście bliskich po wojnie oraz po upadku komunizmu? Do jakich instytucji zwracaliście się o pomoc?

B.G. Oczywiście poszukiwałam. Najpierw moja Babcia

i Mama, a potem ja z mężem. Zwracaliśmy się do Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża, Ośrodka KARTA, Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, Centralnego Archiwum Wojskowego oraz Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

T.K. Tolo po klęsce wrześniowej znalazł się na zachodzie. Nie mieliście jednak o nim żadnych wieści. Kiedy to się zmieniło?

B.G. To może zabrzmiało dziwnie, ale jedyną wieści o Tolu, jakie rodzina otrzymywała podczas wojny, pochodziły z niewoli niemieckiej (Stalag Luft 3 w Żaganiu), gdzie trafił ciężko ranny po zestrzeleniu nad Francją i przebywał 3 lata. Były to krótkie kartki ocenzone (czasem niemal cała treść była pracownie zamazana), przychodziły rzadko, ale były. Gdy w kwietniu 1945 r. Tolorowi udało się uciec podczas ewakuacji obozu, znów nastąpiła przerwa w korespondencji.

Na szczęście był Czerwony Krzyż, za jego pośrednictwem Babcia poszukiwała syna i męża.

W maju 1946 r. przyszło zawiadomienie z Londynu, że Tola powiadomiono o naszym aktualnym adresie (od roku mieszkaliśmy już w Lublinie) i możemy z nim korespondować poprzez Czerwony Krzyż. Ale były jeszcze wiadomości nieoficjalne. Wiem, że Mama i Babcia czytały w czasie wojny konspiracyjne wydanie „Dywizjonu 303” Arkadego Fiedlera. Ze względu na bezpieczeństwo rodzin nie było w tekście nazwisk tylko pseudonimy lub imiona.

Na szczęście był tam „Tolo, który miał twarz jak młoda dziewczyna”, więc naszego bohatera łatwo było zidentyfikować.

T.K. W czasie wojny 3 pokolenia kobiet – babcia, mama i Pani oraz kilkunastoletni brat mamy Jerzy, zdani byliście przede wszystkim na siebie. Jak sobie radziście i gdzie mieszkaliście?

B.G. To były lata wędrowki pod dyktando wojny i kolejnych okupantów. Domy, a czasem po prostu dach nad głową, zmienialiśmy kilkakrotnie. Jak już wspominałam – przed wojną moi rodzice mieszkali w Wilnie na ulicy Szepcycykiego w dużym 3-pokojowym mieszkaniu na 3. piętrze. Gdy wybuchła wojna i zabrakło Ojca, mieszkaliśmy z Mamą dalej w tym samym domu, ale już w sublokatorskim



poкою na 1. piętrze. Wkrótce pojawili się w naszym życiu Babcia i Jerzyk. Mama, żeby zarobić na utrzymaniu 4-osobowej rodziny, pracowała na 3 zmiany w fabryce jako tkaczka. Jerzyk kontynuował naukę na tajnych kompletach i w Wilnie zdał maturę. W 1941 r. udało się nam 2 razy uniknąć wywózki na Syberię. Po wkroczeniu Niemców w czerwcu 1941 r. wyjechaliśmy do Przylesia. Zastaliśmy resztki dawnej świętości. Folwark został zdezastowany w czasie nieobecności właścicieli, ale byliśmy u siebie. Mieszkałyśmy tam stosunkowo długo – 3 lata. Jerzyk wydorósł i wziął na siebie rolę gospodarza. Dzielnie sobie radził, ale wkrótce nas opuścił i poszedł walczyć w AK. Pomagała nam dawna gospodyni Dziadków, Mania. W sierpniu 1944 roku, gdy ponownie wkroczyli Sowietci, jeden z uczniów oszmiańskiego gimnazjum ostrzegł Babcie, że znów grozi nam wywózka. Pomógł załadować trochę rzeczy na wóz i pod osłoną nocy zawiązał naszą babką trójkę do Wilna. Tam na krótko zatrzymaliśmy się u przyjaciółki Mamy na Antokolu, a potem przez około pół roku mieszkaliśmy w Nowej Wilejce u moich Dziadków Szutowiczów. Mama pracowała na kolei w biurze. W marcu 1945 r. wyjechaliśmy jako ekspatriantki do Polski.

T.K. Jerzy Łokuciewski w okresie pobytu w Przylesiu na Oszmiańszczyźnie wstąpił w szeregi Armii Krajowej. Co wiadomo o tym okresie jego życia?

B.G. Jerzy był w VIII Brygadzie AK, którą tworzyli głównie jego rówieśnicy, w większości niedawni uczniowie oszmiańskiego gimnazjum. W lipcu 1944 r. brał udział w akcji „Burza” w operacji „Ostra Brama”, której celem było zdobycie okupowanego przez Niemców Wilna przed nadejściem Sowietów. Jak wiadomo, Armia Czerwona przyspieszyła szturm na Wilno, po czym Sowietci podstępem aresztowali i uwięzili dowództwo AK, a żołnierzy, w tym Jerzego, rozbroili i internowali na zamku w Miednikach, po czym większość wywieźli w głąb ZSRR, do Kaługi. Część AK-owców udało się uciec. Wśród nich był Jerzy. Ukrywał się w okolicach Wilna. Spotkałyśmy się dopiero w Lublinie. W czasie jednej z bitew Jerzy został ranny. Z początku nie wyglądało to groźnie, ale wada się infekcja, której skutki włożyły się za nim przez całe życie. Przeszedł w związku z tym kilkanaście operacji.

T.K. Jakie były losy dziadków Szutowiczów? Oni również mieszkali na Wilieńszczyźnie.

B.G. Moi Dziadkowie ze strony Ojca, Agnieszka z Paszkiewiczów i Bronisław Szutowiczowie mieszkali w Nowej Wilejce. Mieli tam duży piękny dom z ogrodem położonym malowniczo na skarpie. Było to ich miejsce na ziemi i bardzo boleśnie odczuli ekspatriację do Polski, do Walcza

na Pomorzu Zachodnim w 1946 roku. Przyjechali tam z dwiema córkami: Genowefą i Wandą.

T.K. Kiedy podjęliście decyzję o wyjeździe z Wilna i gdzie zatrzymał się pociąg z ekspatriantami? Jak dalej potoczyło się życie Pań?

B.G. Decyzję podejmowali dorośli, a więc Mama i Babcia. Myślę, że zdecydowały się szybko, bo wyjechaliśmy jednym z pierwszych transportów, chyba piątym. Po 2-tygodniowej podróży w niesamowicie zatłoczonym wagonie towarowym (podstawiono połowę przewidzianych wagonów) nasz pociąg zatrzymał się w Lublinie. Wszystko trzeba było zacząć od nowa, a nie miałyśmy prawie nic. Jednym z następnych transportów przyjechał Jerzy, a w 1947 r. przyjechał z Wielkiej Brytanii Tolo. Było bardzo ciężko. Mama zmarła o prace w muzeum zgodnie z kierunkiem studiów, ale płace tam były marne, więc pracowała w księgowości. Nie było jeszcze komputerów ani nawet kalkulatorów. Sumowała więc na liczydło długie kolumny liczb, których nigdy nie lubiła. Babcia zajmowała się domem i mną. Jerzy studiował, a potem ożenił się i przeniósł do Katowic. Tam obecnie mieszkają: jego syn, wnuki i prawnuki. Ja ukończyłam w Lublinie szkołę podstawową, średnią i studia (fizyka), a po wyjściu za mąż przenieśliśmy się do Warszawy. Babcia zmarła w 1958 roku w Lublinie, Mama w 1979 roku w Warszawie, a Jerzy w 1991 roku w Katowicach.

T.K. Na emeryturze napisała Pani kilka książek. Stała się Pani niejako strażnikiem rodzinnej pamięci. „Opowieści z rodzinnych albumów Łokuciewskich”, „Tolo – Muszkieter z Dywizjonu 303” oraz „Lotnictwo to moje życie” (z Tomaszem Gostkowskim i Wojtkiem Matusiakiem) przybliżają dzieje rodziny i sylwetkę pilota Witolda Łokuciewskiego. Co było impulsem do napisania tych cennych pozycji?

B.G. Pierwsza książka „Tolo – muszkieter z Dywizjonu 303” powstała w wyniku oglądania z moimi wnuczkami rodzinnych albumów. Stare, ocalone przez Babcie, albumy, zaczęły się sypać, więc zaczęłam przekładać zdjęcia do nowych. Postanowiłam ułożyć je tematycznie. Jako pierwszy powstał album poświęcony Tolowi. Uznałam, że trzeba napisać do niego krótki komentarz na użytek rodziny i przyjaciół. W miarę pisania tekst się rozrastał i nastąpiło odwrócenie proporcji – powstał długi tekst ilustrowany zdjęciami. W tym czasie ukazała się w Polsce „Sprawa honoru” Lynne Olson i Stanleya Clouda. Obserwując ogromne zainteresowanie tą książką, uświadomiłam sobie, że moja opowieść o Tolu może zainteresować szersze grono

czytelników. Skontaktowałam się z wydawcą „Sprawy honoru”, panem Andrzejem Findeisenem, i on w 2008 r. wydał „Tolo – muszkietera...”

Juz po ukazaniu się „Tola – muszkietera...” córki Tola, Anna Łokuciewska-Bors i Danuta Łokuciewska-Zdanowicz, porządkując dokumenty po śmierci matki, Wandy Łokuciewskiej, znalazły niedokończony rękopis wspomnień Tola oraz jego obozowy dziennik z niewoli. Wraz z moim mężem, Tomaszem Gostkowskim, zebrałyśmy jeszcze liczne rozproszone artykuły i wywiady Tola, a Wojtek Matusiak, dziennikarz specjalizujący się w tematyce lotniczej, dodał do tego przetłumaczone przez siebie dokumenty z Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie. Tak powstało „Lotnictwo to moje życie”. Jest to historia życia Tola opowiedziana jego słowami. Jest fragmentaryczna, więc dodałam komentarz. Fotografie pochodzą z moich albumów i Fundacji Historycznej Lotnictwa Polskiego. Książka ukazała w wydawnictwie Gretza Roberta Gretzyngiera w 100-lecie urodzin Tola, w 2017 r. Wertując albumy, uświadomiłam sobie, że mam rodzinne fotografie z okresu 100 lat, a w nich zapisana historia pięciu pokoleń naszej rodziny. Z tych zdjęć i wspomnień powstały „Opowieści z rodzinnych albumów Łokuciewskich. Spacer przez stulecie”.

T.K. Po wojnie odwiedziła Pani Wilno, a w 2019 roku także Oszmianę. Wiem, że ta sentymentalna podróż mocno zapadła w pamięci, a miejscowi Polacy przyjęli Panią bardzo serdecznie. Proszę opowiedzieć czytelnikom o kulisach tego wyjazdu.

B.G. Była to niezapomniana wyprawa. W sierpniu 2019 roku trzy pokolenia: ja, moja córka Katarzyna Wolska i wnuczka Zofia Wolska, wtedy studentka, pojechałyśmy do Oszmiana. Dla mnie była to podróż sentymentalna do krainy dzieciństwa, a dla nas wszystkich piękna wycieczka turystyczna po Ziemi Oszmiańskiej. Zawiedzamy ją naszym wspaniałym przewodnikiem: księdzu Dziekanowi Janowi Pużynie, proboszczowi kościoła św. Michała Archaniola i panu Michałowi Butkiewiczowi, twórcy znakomitego portalu www.oszmianszczyzna.pl.

Wyjechałam z Kresów jako dziecko, wróciłam po 75 latach jako starsza pani. Moje oszmiańskie wspomnienia pochodzą z lat wojny, gdy mieszkaliśmy w Przylesiu i od czasu do czasu jeździliśmy do miasta. Oczywiście tamta Oszmiana i Oszmiana dzisiejsza to dwa różne światy, ale my obracałyśmy się głównie w środowisku polskim i czułyśmy, że jesteśmy wśród swoich. Jednak zdarzało się, że i Białorusini byli dla nas bardzo serdeczni.

Witano nas i przedstawiano w

ten sposób: „Proszę Państwa! Oto wnuczka, prawnuczka i prapanuczka Antoniego Łokuciewskiego”. Tak też wpisujemy się do ksiąg pamiątkowych. Nieśamowicie! Dziadek nie żyje od blisko 80 lat, a tymczasem my w białoruskiej Oszmianie grzejemy się w jego cieple.

Podobno człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim. Dziadek fizycznie żył krótko – zaledwie 55 lat. Nie wiemy, gdzie zakończył życie i gdzie złożono jego doczesne szczątki. Być może w Kuropatkach pod Mińskiem, białoruskim Katyniu. Odwiedziliśmy to miejsce w drodze powrotnej. W Polsce nazwisko Dziadka jest wypisane na grobie Babci w Lublinie. Ale Oszmiana, z którą związał swoje losy w czasach II Rzeczypospolitej, o nim pamięta. Na miejscowym cmentarzu znajduje się jego symboliczny grób. Rosną tam kwiatki, stoją znicze. Mogłyśmy więc wreszcie pomodlić się przy grobie Dziadka. Było to dla nas bardzo wzruszające.

Ogromne wrażenie zrobiło też na nas spotkanie licznej grupy Polaków 15 sierpnia wieczorem przy grobach tych, co polegli w 1920 roku. Śpiewano pieśni patriotyczne. Była więc i „Rota”, i „My, Pierwsza Brygada”, i „O mój rozmarynie” i wiele innych pieśni. Miałam okazję spotkać się z miejscową Polonią i opowiedzieć o losach naszej rodziny po wyjeździe z Kresów.

Wspominając spotkania z Oszmiańszczyzną, myślę sobie, że Polacy mieszkający za granicą chyba częściej i bardziej spontanicznie niż my potrafili demonstrować swój patriotyzm.

Odwiedziliśmy oczywiście gimnazjum. Przechodziło ono różne koleje losu, ale dwa budynki z czerwonej cegły, jeszcze z carskich czasów, wciąż stoją i obecnie jest tam znów gimnazjum. Oczywiście nie polskie, tylko białoruskie, ale w izbie pamięci wisi portret Dziadka, a pani dyrektor, Białorusinka (roz-mawialiśmy po rosyjsku), powiedziała nas entuzjastycznie, rzucając się po kolei każdej z nas na szyję, zaś mnie zaprosiła na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie skorzystałam z zaproszenia, ale gest był bardzo sympatyczny.

Tam, gdzie kiedyś była apteka przyjaciela Dziadków, pana Chomiczewskiego, apteka jest w dalszym ciągu, ale została wkomponowana w duży budynek, w którym mieści się Muzeum Historyczno-Krajoznawcze. Zwiedziliśmy je oczywiście. Jest nowoczesne i przedstawia historię miasta w taki sposób, że – jak mówi pan Butkiewicz – każdy znajdzie tam coś dla siebie. I polski patriota, i białoruski nacjonalista, i sowiecki komunista.

Pięknie prezentuje się kościół św. Michała Archaniola, który od ponad 20 lat odbudowuje ksiądz Jan Tużyna. Cerkiew po sąsiedzku też dobrze wygląda. Natomiast synagoga jest bardzo zniszczona. Podobnie jak klasztor

Franciszkanów. Centralny plac w Oszmianie nosi nazwę 17 września. Główna ulica – podobnie jak w innych miastach – nazywa się Sowiecka.

Wdręgną szlakiem wspomnień, odwiedziliśmy kościół w Murowanej Oszmiance. Do tego kościoła jeździliśmy z Przylesia na msze w niedziele.

Szukaliśmy też śladów Przylesia. Wiedziałam wprawdzie, że nic z tego nie zostało, bo Sowietci zrobili tam kolchoz, las wycięli i całość zdezastowali. Być może udało się nam zlokalizować to miejsce, sądząc po układzie kamieni, które prawdopodobnie pozostały z fundamentów budynków oraz malinach i zdziaczalnym drzewku owocowym, być może smętnych pozostałościach sadu. Dziś miejsce to znajduje się na granicy łąki i młodego lasu, który zaczyna odrastać. Przywiozłyśmy stamtąd mały kamyczek.

Byliśmy też na cmentarzu w Cieleżyszczach, gdzie znajduje się grób brata Dziadka, Stefana Łokuciewskiego, jego żony i synów zamordowanych w 1945 roku.

Jeździliśmy też po Ziemi Oszmiańskiej. Jest co zwiedzać, choć większość zabytków, kościołów, pałaców i skromnych dworców, jest zrujnowana, bo gdzie się dało, urządzano magazyny, szpitale, jakieś małe fabryczki i zdezastowano je kompletnie.

Książa – z księdzem Janem Pużyną na czele – dokonują cudów, by odbudować kościoły, ale na ogół brak im środków, a poza tym wszystko trzeba z trudem zdobywać, bo kupić się nie da. Natomiast państwo odrestaurowało dwie wielkie rezydencje magnackie Radziwiłłów: zamek w Mirze i pałac w Nieświeżu. Zostały one wpisane na listę UNESCO i można je zwiedzać.

Tu ciekawostka. Na Białorusi, podobnie jak na Litwie – jest znakomity chleb razowy. A w Oszmianie pieką taki chleb wg receptury Radziwiłłów. Na opakowaniu jest herb Radziwiłłów i ich dewiza po polsku: „Bóg nam radzi!”. Nikomu to nie przeszkadza.

Jestem szczęśliwa, że odwiedziłam wreszcie ziemię przodków, że moja córka i wnuczka zobaczyły kraj, gdzie znajdują się ich korzenie.

T.K. Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Warszawa Falenica, 14 marca 2023 r.

--
1. *) Stanisław Kiejdo (red.), Monografia Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Oszmianie 1918 – 1939” wyd. IV Gdańsk 1989 s. 105

**) Józef Hryniewicz (red.), Ich losy – wychowanków i absolwentów Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Oszmianie 1939 – 1945, Gdańsk 1990 s. 33

***) Maciej Wyrwa, Nieodnaleziona ofiara Katynia, Warszawa 2015 s. 140